



Kate Morton

STRAŻNIK  
TAJEMNIC

MARZENIA, KTÓRE MOGĄ PROWADZIĆ DO ZGUBY...

ALBATROS

Tytuł oryginału:  
THE SECRET KEEPER

Copyright © Kate Morton 2012  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Magdalena Koziej 2013

Redakcja: Beata Kołodziejska

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Ilustracje na okładce: Cat\_arch\_angel/Shutterstock (*rudzik 1*);  
RyurenFate/Shutterstock (*rudzik 2*); TorriPhoto/Shutterstock (*ptak na gałęzi*);  
© Sybille Sterk/Arcangel (*łło*); Filatova Halyna/Shutterstock (*jarzębina*)

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



# 1

Angielska wieś, dom na pustkowiu, letni dzień na początku lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Budynek jest skromny: mur pruski, biała farba łuszczy się delikatnie na zachodniej ścianie, a klematis pnie po tynku. Z nadstawek kominowych unosi się para i wystarczy jedno spojrzenie, by wiedzieć, że na płycie kuchennej pyrka w garnku coś smacznego. Mówią o tym również grządki warzywne na tyłach domu, okna dumnie pobłyskujące szybkami w ołowianych ramkach, dach ze starannie uzupełnionymi ubytkami w dachówkach.

Dom otacza typowo wiejski płot, a drewniana furtka odgradza uładzony ogród od łąk po drugiej stronie i rosnącego dalej zagajnika. Tam, w splątanym gąszczu drzew, pluska zwinnie po kamieniach strumień, przemykając pomiędzy światłem słonecznym a cieniem, jak czynił przez stulecia, ale stąd go nie słyszać. Jest zbyt daleko. Dom stoi na odludziu, na końcu długiego, pylistego podjazdu, niewidocznego z wiejskiej drogi, z którą dzieli nazwę.

Czasem zerwie się lekki wietrzyk, ale poza tym wszystko trwa w bezruchu, jest spokojnie, cicho. Dwie białe obręcze hula-hoop, szaleństwo ostatniego roku, stoją oparte o treliaz obrośnięty glicynią. Pluszowy miś z przepaską na oku, wyrozumiały i pełen godności, stoi na warcie w dogodnym punkcie obserwacyjnym, czyli koszu na klamerki przyczepionym do zielonego wózka na pranie. Taczka wyładowana doniczkami czeka cierpliwie przy szopie.

Pomimo panującego bezruchu, a może właśnie z jego powodu, całe otoczenie jest naładowane oczekiwaniem, jak scena teatralna tuż przed wyłonieniem się aktorów z kulis. Wszystko jest jeszcze możliwe, los nie został przypieczętowany przez zdarzenia i nagle...

– Laurel! – woła niecierpliwie dziecięcy głos gdzieś w oddali. – Laurel, gdzie jesteś?

Czar prysł. Światła przygasają, kurtyna idzie w górę.

Nie wiadomo skąd pojawia się stadko kur, które zaczynają wydziobywać coś spomiędzy cegieł, którymi wyłożona jest ścieżka, sójka wlecze swój cień przez ogród, traktor na pobliskiej łące z terkotem budzi się do życia. A wysoko ponad tym wszystkim leży sobie na plecach, na podłodze drewnianego domku na drzewie pewna szesnastolatka, która mocno przyciska cytrynową landrynkę językiem do podniebienia i wdycha.



Może to było okrutne, że pozwalała im wciąż się szukać, ale w tym upale nie mogła zdobyć się na wysiłek konieczny przy zabawie – bądź co bądź dość dziecinnej – zwłaszcza że piastowała w duchu pewien sekret. Zresztą na tym przecież polegał sens zabawy w chowanego, tata zawsze powtarzał, że trzeba grać fair, a one nigdy się nie nauczą, jak nie będą próbować. To nie wina Laurel, że umie wynajdywać lepsze kryjówki. Owszem, są od niej młodsze, ale przecież to nie jakieś maluchy.

Zresztą wcale nie chciała, by ją odnaleziono. Nie dzisiaj. Nie teraz. Chciała tylko tak sobie leżeć i pozwalać, by cienka kretonowa sukienka muskała jej gołe nogi, podczas gdy w głowie krążyły myśli o nim.

Billy.

Przymknęła oczy, a jego imię wypisało się ozdobną kursywą na czarnym tle pod powiekami. Neon, jaskraworóżowy neon. Poczowała mrowienie na skórze i przesunęła landrynkę w ustach tak, że czubek języka trafił w jej wklęsłość.

Billy Baxter.

Sposób, w jaki patrzył na nią ponad czarną oprawką okularów przeciwsłonecznych, ten krzywy uśmiech, ciemne włosy ostrzyżone jak

u gwiazdy rock and rolla...

To nastąpiło natychmiast, jak się spodziewała po prawdziwej miłości. Ona i Shirley wysiadły z autobusu sześć sobót wcześniej i ujrzała Billy'ego, który wraz z przyjaciółmi palił papierosa na schodach przed salą taneczną. Ich oczy się spotkały i Laurel pogratulowała sobie, że przeznaczyła weekendowy zarobek na nowe nylonowe pończochy.

– Laurel, no przestań... – To była Iris, której głosik osłabł od upału.  
– Graj uczciwie...

Laurel zacisnęła mocniej powieki.

Przetańczyli razem całą zabawę. Zespół grał coraz szybciej, włosy Laurel wymknęły się z francuskiego koka, który starannie skopiowała z okładki „Bunty”, stopy ją paliły, ale wciąż tańczyła. Przestała dopiero wtedy, gdy podeszła do niej nadąsana Shirley, i niby jakaś ciotka oświadczyła, że zaraz odchodzi ostatni autobus do domu, o ile Laurel zależy na tym, by wrócić na czas (a ona, Shirley, sądzi, że chyba jest jej wszystko jedno). A potem, gdy koleżanka przytupywała niecierpliwie, a rozplómienna Laurel powiedziała do widzenia, Billy chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie, i coś w głębi Laurel już wiedziało z osłepiającą jasnością, że ta chwila, ta piękna, roziskrzona chwila, czekała na nią przez całe życie...

– Dobra, rób sobie jak chcesz! – Teraz w głosie Iris wyraźnie było słycać rozdrażnienie. – Ale nie miej do mnie pretensji, jak zabraknie dla ciebie tortu.

Słońce prześlizgnęło się już przez zenit i smuga żaru wpadła przez okno domku na drzewie, wypalając na wewnętrznych powiekach Laurel barwę coli o smaku wiśniowym. Usiadła, ale nie zrobiła nic, by opuścić swoją kryjówkę. Pogrożka była celnie wymierzona – wszyscy znali słabość Laurel do biszkoptu królowej Wiktorii w wykonaniu mamy – lecz chybiona. Laurel wiedziała bowiem, że nóż do tortu leży zapomniany na kuchennym stole, gdzie przeoczono go pośród wcześniejszego zamieszania, gdy rodzina szykowała koszyki piknikowe, a potem wszyscy zgarnęli pledy, musującą lemoniadę, ręczniki, nowe radio tranzystorowe i ruszyli pędem nad strumień. Wiedziała to, ponieważ, gdy zawróciła pod pozorem szukania kryjówki i wślizgnęła się do chłodnego, mrocznego

domu po swoją przesyłkę, ujrzała nóż obok misy z owocami, gdzie spoczywał z czerwoną kokardą zawiązaną na ręczce.

Nóż był elementem pewnej tradycji w rodzinie Nicolsonów – przekrajał wszystkie torty urodzinowe, ciasta świąteczne, wypieki szykowane dla poprawienia komuś nastroju – a mama miała bzika na punkcie tradycji.

Tak więc Laurel wiedziała, że ma wolne, dopóki nie wyślą kogoś po ten nóż. A czemu by nie? W takim domu jak ten, gdzie rzadko zdarzały się spokojne chwile, gdzie zawsze ktoś wchodził jednymi drzwiami albo trzaskał drugimi, trwonienie prywatności równało się świętokradztwu.

A zwłaszcza dziś potrzebowała czasu dla siebie.

Paczka nadeszła z ostatnią czwartkową pocztą i szczęśliwym zrządzeniem losu listonosza spotkała Rose, a nie Iris, Daphne czy, nie daj Boże, mama. Laurel od razu wiedziała, od kogo jest ta przesyłka. Jej policzki zalały się rumieńcem, ale zdołała wyjąkać coś o Shirley, zespole i pożyczonej płycie. Zresztą szkoda było się wysilać dla Rose, na której uwadze nigdy nie należało polegać, a teraz zdążyła już ją przenieść na motyla siedzącego na płycie.

Później tego wieczoru, gdy wszyscy skupili się przed telewizorem, by oglądać *Juke Box Jury*, a Iris i Daphne porównywały zalety Cliffa Richarda i Adama Faitha, ojciec zaś lamentował nad fałszywym amerykańskim akcentem tego drugiego oraz innymi stratami Imperium Brytyjskiego w szerszym sensie, Laurel udało się wymknąć. Zamknęła zamek w łazience i zsunęła się na podłogę, mocno przyciskając plecy do drzwi.

Drżącymi palcami rozdarła brzeg paczki.

Na jej kolana wypadła cienka książka owinięta w bibułkę. Przeczytała tytuł przez papier – *Urodziny Stanleya* Harolda Pintera – i dreszcz przeszedł jej po plecach. Nie mogła powstrzymać pisku.

Od tamtej pory spała z tą książką ukrytą pod poszewką poduszki. Niezbyt to było wygodne, ale lubiła trzymać ją w pobliżu. Musiała mieć ją przy sobie. To było ważne.

Laurel wierzyła w to, że są chwile, gdy człowiek staje na rozdrożu, gdy coś nagle nieoczekiwanie się wydarza i zmienia bieg ludzkiego życia. Premiera sztuki Pintera była takim właśnie momentem. Przeczytała o niej

w gazecie i nie wiedzieć czemu poczuła, że koniecznie chce ją obejrzeć. Powiedziała rodzicom, że jedzie odwiedzić Shirley, zobowiązała przyjaciółkę do dochowania tajemnicy, a następnie złapała autobus do Cambridge.

To była jej pierwsza samotna wyprawa w życiu i gdy tak siedziała na ciemnej widowni Arts Theatre i patrzyła, jak przyjęcie urodzinowe Stanleya przeradza się w koszmar, doznała uniesienia, jakiego nie doświadczyła nigdy wcześniej. Był to chyba ten rodzaj objawienia, którym napawały się zarumienione panny Buxton w kościele w każdy niedzielny poranek, i choć Laurel podejrzewała, że ich entuzjazm miał więcej wspólnego z nowym młodym proboszczem niż Słowem Bożym. Siedząc na tanim miejscu na widowni, gdy energia dramatu rozgrywającego się na scenie dotarła do jej wnętrza i połączyła się z jej własną, poczuła, jak twarz płonie jej błogością i już wiedziała. Nie była pewna, co dokładnie, ale wiedziała to z niezbitą pewnością: w życiu chodziło o coś więcej, i to coś na nią czeka.

Hołubiła ten sekret, nie bardzo wiedząc, co z nim począć, nie potrafiąc wyjaśnić nikomu, co ją dręczy, aż do tamtego wieczoru, gdy Billy obejmował ją ramieniem, a ona, przyciskając mocno policzek do jego skórzanej kurtki, opowiedziała mu o tym wszystkim...

Laurel wyjęła jego list z książki i ponownie go przeczytała. Był krótki, Billy pisał tylko, że będzie czekał na nią z motocyklem na końcu ulicy, o wpół do trzeciej w sobotę – jest pewne miejsce, które chciałby jej pokazać, ulubiony zakątek na wybrzeżu.

Zerknęła na zegarek. Zostały niecałe dwie godziny.

Pokiwał głową, gdy powiedziała mu o uczuciach, jakie wywołało w niej przedstawienie *Urodzin Stanleya*, a potem zaczął mówić o Londynie i teatrze, i zespołach, które oglądał w bezimiennych nocnych klubach, a Laurel dostrzegła przeblysł różnych możliwości. A potem ją pocałował, to był jej pierwszy prawdziwy pocałunek, żarówka w głowie wybuchła i wszystko rozjarzyło się do białości.

Przesunęła się w miejsce, w którym Daphne ustawiła małe lustro, i przyjrzała się czarnym kreskom namalowanym z benedyktyńską cierpliwością w kącikach oczu. Zadowolona, że są równe, przyglądała

grzywkę i próbowała wyzbyć się uciążliwego, mdlącego uczucia, że zapomniała o czymś ważnym. Przypomniała sobie o ręczniku kąpielowym, kostium miała już pod sukienką. Powiedziała rodzicom, że pani Hodgkins potrzebuje jej w salonie na kilka dodatkowych godzin, bo trzeba pozamiatać i posprzątać.

Odwrociła się od lusterka i skubnęła skórkę przy paznokciu. Oszukiwanie nie leżało w jej naturze, była porządną dziewczyną, wszyscy tak mówili – nauczyciele, matki koleżanek, pani Hodgkins – ale czy miała jakiś wybór? Jak zdołałaby to wytłumaczyć matce i ojcu?

Wiedziała prawie na pewno, że jej rodzice nigdy nie doświadczyli miłości, choć tak bardzo lubili opowiadać, jak się poznali. Och, kochali się wystarczająco, ale to była bezpieczna miłość starszych ludzi, wyrażana masowaniem ramion i niezliczonymi filiżankami herbaty. Nie – Laurel westchnęła gorąco. Można z pewnością powiedzieć, że żadne z nich nigdy nie doświadczyło innego rodzaju miłości, tej z fajerwerkami, biciem serca i fizycznymi – zarumieniła się – pragnieniami.

Ciepły powiew wiatru przyniósł z oddali śmiech matki, a świadomość, jakkolwiek nikła, stania nad przepaścią we własnym życiu, wywołała w Laurel czułość. Kochana mama. To nie jej wina, że miała młodość zmarnowaną przez wojnę i dwadzieścia pięć lat, gdy poznała i poślubiła tatę. Wciąż wykorzystywała swój talent do robienia stateczków z papieru, gdy któreś z nich potrzebowało pocieszenia, a najważniejszym wydarzeniem lata było wygranie nagrody ufundowanej przez wiejski Klub Ogrodników i zamieszczenie jej zdjęcia w gazecie. (Nie tylko lokalnej, bo artykuł został sprzedany do londyńskiej prasy i ukazał się w dużym wydaniu specjalnym na temat wydarzeń regionalnych; ojciec Shirley, adwokat, z wielką przyjemnością wyciął artykuł z gazety i go przywiózł). Mama udawała zażenowanie i zaprotestowała, gdy tata przyczepił wycinek na nowej lodówce, ale robiła to bez przekonania i nie zdjęła go. Nie, ona była dumna ze swojej superdługiej fasoli wielokwiatowej, bardzo dumna, i właśnie to dawało Laurel do myślenia. Wypluła pokaźny kawałek paznokcia. W pewnym trudnym do określenia sensie sądziła, że lepiej jest oszukiwać osobę, która jest dumna z fasolki wielokwiatowej, niż zmuszać ją do akceptowania faktu, że świat się zmienił.



Nie miała zbyt dużego doświadczenia w oszukiwaniu. Członkowie rodziny Laurel byli ze sobą bardzo blisko, co podkreślały wszystkie jej koleżanki. Mówiły to jej w twarz i, jak wiedziała, za plecami. Zdaniem osób postronnych Nicolsonowie popełniali ten wielce podejrzany grzech, że najwyraźniej autentycznie się lubili. Jednak ostatnio sytuacja uległa zmianie. Chociaż Laurel zachowywała wszelkie pozory, uświadamiała sobie dziwny, nieznan dystans. Zmarszczyła lekko brwi, gdy letni wietrzyk zwał jej na twarz kilka pasemek włosów. Wieczorami, kiedy siadywali wokół stołu w jadalni, ojciec rzucał te swoje słodkie, mało zabawne żarciki, a oni i tak się z nich śmiali, czuła się, jakby była na zewnątrz i zaglądała do środka, jakby pozostali siedzieli w wagonie pociągu, ukołysani znanym rodzinnym rytmem, a ona stała samotnie na peronie i patrzyła, jak odjeżdżają.

Tylko że to ona miała ich opuścić, i to wkrótce. Już wszystkiego się dowiedziała: musiała pojechać do Głównej Szkoły Aktorskiej. Zastanawiała się, co powiedzieliby rodzice, gdyby oświadczyła, że chce wyjechać. Żadne z nich nie było szczególnie bywałe w świecie – matka od narodzin Laurel nie wyjeżdżała nawet do Londynu – więc sama sugestia, że najstarsza córka rozważa przeprowadzkę do tego miasta, nie wspominając o podejrzanym życiu w teatrze, mogłaby przyprowadzić ich o apopleksję.

Mokre pranie poruszyło się na sznurze rozpiętym w dole. Jedna nogawka dżinsów, których tak nie znosiła babcia („Wyglądasz wulgarnie, Laurel – nie ma nic gorszego niż dziewczyna, która się szlaja”), otarła się o drugą, płosząc kurę z jednym skrzydłem, która rozgdakała się i zaczęła biegać w kółko. Laurel wsunęła na nos okulary przeciwsłoneczne w białych oprawkach i oparła się o ścianę domku.

Problemem była wojna. Skończyła się szesnaście lat temu – całe jej życie – i świat poszedł do przodu. Teraz wszystko się zmieniło. Maski gazowe, mundury, kartki na żywność i cała reszta pasowały tylko do wielkiego starego kufra w kolorze khaki, który ojciec trzymał na strychu. Niestety niektórzy ludzie chyba nie zdawali sobie z tego sprawy, a konkretnie cała populacja tych, którzy mieli ponad dwadzieścia pięć lat.

Billy powiedział, że Laurel nie zdoła znaleźć słów, dzięki którym oni

zrozumieją. Powiedział, że to się nazywa różnica pokoleń i nie ma sensu podejmować prób wyjaśniania czegokolwiek. Bo jest tak, jak mówi Alan Sillitoe w książce, którą Billy zawsze nosił w kieszeni: dorośli nie mają rozumieć swoich dzieci i robisz coś nie tak, jeśli jest inaczej.

W pierwszym odruchu Laurel – dobra dziewczynka, lojalna wobec rodziców – chciała się z nim nie zgodzić, ale zaraz jej przeszło. Zamiast tego przywołała w myślach niedawne wieczory, kiedy to udawało jej się wymknąć siostrze, zanurzyć w balsamiczny mrok, i z radiem ukrytym pod bluzką i mocno bijącym sercem wdrapać do domku na drzewie. Tam, samotnie, szybko nastawiała tranzystor na Radio Luxembourg, kładła się na plecach w ciemności i pozwalała otoczyć się dźwiękiem. Gdy muzyka wsączała się w nieruchome wiejskie powietrze, zasnuwając odwieczny pejzaż najnowszymi piosenkami, Laurel przechodziły ciarki i czuła cudowne odurzenie na myśl, że jest częścią czegoś większego, ogólnoświatowej konspiracji, sekretnego ugrupowania. Nowe pokolenie ludzi, którzy słuchali radia dokładnie w tej samej chwili i rozumieli, że życie, świat, przyszłość gdzieś tam na nich czekają...

Laurel otworzyła oczy i wspomnienie prysło. Jednak pozostał po nim ciepły ślad, dziewczyna przeciągnęła się z zadowoleniem i zaczęła śledzić lot gawrona przecinającego zarys chmury. Leć, ptaszku, leć. Ona też tak wyfrunie, tylko skończy szkołę. Podążyła wzrokiem za ptakiem i mrugnęła dopiero wtedy, gdy był punkcikiem na odległym błękitnie, bo powiedziała sobie, że jeśli tego dokona, uda się jej nakłonić rodziców, by ujrzeli sprawę jej oczami, a przyszłość potoczy się gładko.

Oczy zaszczyły łzami triumfu i opuściła wzrok na dom: okno swojej sypialni, marcinki, które posadziły z mamą nad martwym ciałem biednego kota Constable'a, szpara między cegłami, w której, wstyd powiedzieć, zostawiała liściki dla wrózek.

Miała też mgliste wspomnienia z wcześniejszego okresu, gdy była bardzo mała i zbierała ślimaki na płyciźnie na wybrzeżu, każdego wieczoru jadła kolację we frontowym pokoju nadmorskiego pensjonatu babci, ale przypominały sen. Dom na wsi był jedynym domem, jaki знаła. I chociaż sama nie chciała mieć fotela należącego do kompletu, lubiła patrzeć na rodziców, którzy każdego wieczoru rozsiadali się w swoich,

lubiła wiedzieć, że gdy ona zasypia, oni rozmawiają za cienką ścianą, że wystarczy wyciągnąć rękę, by dotknąć którąś z sióstr.

Będzie za nimi tęskniła, kiedy wyjedzie.

Laurel zamrugnęła. Będzie za nimi tęskniła. Natychmiast to do niej dotarło. Ta pewność osiadła w żołądku jak kamień. Pożyczyły jej ciuchy, łamały szminki, rysowały płyty, ale będzie za nimi tęskniła. Ten hałas i ciepło, ruch i sprzeczki, niezmierna radość. Były jak miot szczeniąt kłębiących się razem we wspólnej sypialni. Oszałamiały ludzi z zewnątrz i to je bawiło. Były Nicolsonównami, Laurel, Rose, Iris i Daphne, ogrodem córek, jak mawiał z rozrzewnieniem tato, gdy wypił o jedno piwko za dużo. Były dziewczuchami z piekła rodem, jak mawiała babcia po ich wakacyjnych wizytach.

Teraz słyszała z daleka pokrzykiwania i piski, odległe odgłosy lata nad strumieniem. Coś wewnątrz niej ścisnęło się, jakby ktoś pociągnął za linę. Mogła je sobie wyobrazić, jakby zeszyły ze scenki na jakimś obrazie. Spódnice zatknięte po bokach w majtki, siostry gonią się na płyciźnie; Rose uciekła na skałki, cienkie kostki poruszają się w wodzie, gdy szkicuje mokrym patyczkiem, Iris się zamoczyła i jest wściekła z tego powodu, a Daphne, z tymi swoimi skręconymi kędziorami, pokłada się ze śmiechu.

Kraciasty koc piknikowy pewnie jest rozłożony na trawiastym brzegu, a matka stoi w pobliżu, po kolana w wodzie, na zakręcie strumyka, gdzie nurt jest najszybszy, i puszcza zrobiony przed chwilą stateczek. Tata przygląda się z brzegu, ma podwinięte spodnie, papierosa w kąciuku ust. Na jego twarzy pojawił się – Laurel mogła wyobrazić to sobie bardzo wyraźnie – ten charakterystyczny, lekko zdeprymowany wyraz, jakby ojciec nie mógł uwierzyć we własne szczęście, dzięki któremu życie przywiodło go w to właśnie miejsce, w tym właśnie czasie.

Przy stopach taty pluszcze się maluch, piszcząc i śmiejąc się, gdy pulchne rączki wyciągają się do stateczka mamy. Ich małe słoneczko...

Maluch. Oczywiście ma imię, mianowicie Gerald, ale nikt go tak nie nazywa. To przecież dorosłe imię, a on jest takim maleństwem. Kończy dziś dwa latka, ale jego buzia jest wciąż okrągła i pełna doleczków, ma figlarne błyski w oczach i rozkosznie pulchne białe nóżki. Laurel czasem z trudem się powstrzymywała, by ich za mocno nie ścisnąć. Każda z

sióstr chciała być jego ulubienicą i każda się za taką uważała, ale Laurel wiedziała, że twarzyczka malca najbardziej rozjaśniała się na jej widok.

To nie do pomyslenia, że traci choćby sekundę jego przyjęcia urodzinowego. Co ona sobie myśli, tak długo kryjąc się w domku na drzewie, zwłaszcza że zamierza wymknąć się później z Billym?

Laurel zmarszczyła brwi i odsunęła gorącą falę wyrzutów, którą szybko ochłodziła pewnym postanowieniem. Zaraz to wszystko naprawi: zejdzie na dół, zabierze nóż urodzinowy z kuchennego stołu i zanieśe prosto nad strumień. Będzie wzorową córką, doskonałą starszą siostrą. Jeśli wykona zadanie, zanim zegarek na rękę odmierzy dziesięć minut, zgromadzi dodatkowe punkty na wymyślonej tabeli wyników, którą zawsze w środku nosiła. Ciepły wietrzyk owionął jej nagie opalone stopy, gdy stanęła szybko na pierwszym szczeblu drabinki.



Później Laurel zastanawiała się, czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby schodziła trochę wolniej. Może dałoby się zapobiec tej strasznej rzeczy, gdyby wykazała więcej ostrożności. Ale nie wykazała i nie zapobiegła. Spieszyła się i dlatego zawsze będzie w pewnym sensie obwiniała się o to, co nastąpiło potem. Jednak wtedy nie mogła się powstrzymać. O ile wcześniej tak bardzo pragnęła samotności, o tyle teraz poczuła nagłą, zapierającą dech potrzebę bycia w samym centrum wydarzeń.

Ostatnio często tak bywało. Przypominała wiatrowskaz na szczycie dachu w Greenacres, jej emocje zmieniały się nagle, jak za powiewem wiatru. To było dziwne i czasem przerażające, ale też fascynujące. Jak niepewna jazda na rowerze po plaży.

W tym momencie okazało się to również szkodliwe, bo pragnąc jak najszybciej dołączyć do uczestników przyjęcia nad strumieniem, zaczepiła kolanem o drewnianą podłogę domku na drzewie. Obtarcie zabolowało i Laurel się skrzywiła, a gdy spojrzała w dół, zobaczyła na kolanie krew, zadziwiająco czerwoną. Zamiast kontynuować schodzenie na dół, wspięła się z powrotem do domku, by obejrzeć skaleczenie.

Kiedy tak siedziała, gapiąc się na krwawiące kolano, przeklinając

swój pośpiech i zastanawiając się, czy Billy zauważy brzydki strup oraz jak by go ukryć, dotarło do niej, że od strony zagajnika dobiegają jakieś odgłosy. Zwyczajny szelest, a jednak na tyle wyraźny na tle innych popołudniowych odgłosów, by przyciągnąć jej uwagę. Wyjrzała przez okno i zobaczyła Barnaby'ego, który sadił wielkie susy przez wysoką trawę, a jego jedwabiste uszy trzepotały jak skrzydła. Matka była tuż za nim, kroczyła łąką w stronę ogrodu w swojej letniej, własnoręcznie uszytej sukience. Maluch siedział wygodnie na jej biodrze, nóżki wystające ze śpioszków ze względu na upał miał gołe.

Chociaż byli jeszcze daleko, z powodu dziwnych figlów wiatru Laurel słyszała wyraźnie melodię, którą nuciła mama. Śpiewała tę piosenkę każdemu ze swoich dzieci. Maluch śmiał się radośnie i wołał „jeszcze! jeszcze!” (choć brzmiało to „jesie, jesie!”), a mama wspinała się palcami po jego brzuszku, by połaskotać go pod brodą. Ich wzajemne skupienie na sobie było tak całkowite, pojawienie się na zalanej słońcem łące tak idylliczne, że Laurel czuła zarówno radość wywołaną oglądaniem tej intymnej scenki, jak i zazdrość spowodowaną tym, że jest z niej wyłączona.

Gdy matka otworzyła furtkę i ruszyła w stronę domu, Laurel zrozumiała ze smutkiem, że przyszła po nóż do tortu.

Z każdym jej krokiem malały szanse Laurel na odkupienie. Przygnębiło ją to, a ponury nastrój powstrzymał przed zawołaniem matki albo zejściem na dół i przykuł ją do podłogi domku na drzewie. Siedziała więc tam, napawając się swym smutkiem, podczas gdy matka dotarła do domu i weszła do środka.

Jedna z obręczy hula-hoop upadła cicho na ziemię, a Laurel odebrała to jako gest solidarności. Postanowiła nie ruszać się z miejsca. Niech jeszcze trochę za nią potęsknią, pójdzie nad strumień, gdy wróci jej odpowiedni nastrój. A tymczasem poczyta znów *Urodziny Stanleya*, wyobrażając sobie przyszłość daleko stąd, życie, w którym jest piękna, wyrafinowana, dorosła i bez strupów.



Ten człowiek, kiedy się pojawił, był zaledwie zamazaną smugą na

horyzoncie, na najdalszym krańcu podjazdu. Laurel później nie mogła sobie przypomnieć, co skłoniło ją do podniesienia wzroku. Przez jedną straszną chwilę, gdy tylko zauważyła mężczyznę zbliżającego się do domu od tyłu, myślała, że to Billy, który pojawił się wcześniej i właśnie po nią idzie. Dopiero gdy ujrzała wyraźniej sylwetkę przybysza i uświadomiła sobie, że mężczyzna jest ubrany zupełnie inaczej – ciemne spodnie, koszula z podwiniętymi rękawami i czarny staroświecki kapelusz – odetchnęła z ulgą.

Ulgę natychmiast zastąpiła ciekawość. Do ich wiejskiego domu rzadko przybywali goście, szczególnie pieszo, choć w głowie Laurel zaświtało jakieś wspomnienie, kiedy patrzyła na zbliżającego się mężczyznę, dziwne wrażenie *déjà vu*, którego w żaden sposób nie potrafiła umiejscowić. Laurel zapomniała, że się dąsa, i korzystając z luksusowego położenia w kryjówce, zaczęła się gapić.

Oparła łokcie na parapecie, podbródek na rękach. Wyglądał całkiem nieźle jak na starszego mężczyznę, a coś w jego postawie świadczyło o pewności siebie i determinacji. Oto facet, który nie musi się spieszyć. Na pewno nie był to nikt znajomy, żaden z przyjaciół ojca z wioski ani żaden z pracowników rolnych. Zawsze istniała możliwość, że to podróżny, który zabłądził i szuka wskazówek, ale ich dom byłby wątpliwym wyborem, bo znajdował się z dala od drogi. A może to Cygan albo jakiś włóczęga? Jeden z tych mężczyzn, którzy czasami zaglądali do nich w poszukiwaniu szczęścia i byli wdzięczni za każdą pracę, jaką tata im oferował? Albo – Laurel zadrzała na myśl o tym – to mógł być ten człowiek, o którym czytała w lokalnej gazecie i o którym dorośli rozmawiali tak nerwowo, bo nagabywał piknikowiczów i napędział stracha kobietom oddalającym się samotnie za zakręt strumienia.

Laurel zadrzała, bo sama się przestraszyła, a potem ziewnęła. Mężczyzna nie był groźny, teraz zauważyła jego skórzaną torbę. To sprzedawca, który przyszedł powiedzieć matce o najnowszym komplecie encyklopedii, bez której nie mogli żyć.

Tak więc odwróciła wzrok.



Minęło parę minut, niezbyt wiele, i Laurel usłyszała gardłowe warczenie Barnaby'ego pod drzewem. Podkraǳła się do okna, a gdy wyrzała ostrożnie nad parapetem, zobaczyła spaniela zastygłego w czujnej pozie na ceglanej ścieżce. Stał zwrócony w stronę podjazdu i patrzył na mężczyznę, który właśnie mocował się z żelazną furtką prowadzącą do ogrodu.

– Spokój, Barnaby! – zawołała mama z wnętrza domu. – Już wychodzimy.

Wynurzyła się z ciemnego holu, przystając w otwartych drzwiach, by wyszeptać coś dziecku do ucha, ucałowała pulchne policzki, a mały zachichotał.

Za domem, obok wybiegu dla kur, skrzypnęła furtka – zawiasy zawsze wymagały oliwienia – a pies znów zawarczał. Zjeżyły mu się włosy na grzbiecie.

– Barnaby, przestań – rzuciła mama. – Co w ciebie wstąpiło?

Mężczyzna wyłonił się zza rogu domu, a ona odwróciła ku niemu głowę. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Dzień dobry – powiedział nieznajomy, przystając, by przycisnąć chusteczkę kolejno do obu skroni. – Ładną dziś mamy pogodę.

Twarzyczka dziecka rozjaśniła się z zachwytu na widok przybysza i maluch wyciągnął swoje pulchne rączki, rozwierając i zamykając dłonie w geście radosnego powitania. Temu zaproszeniu nikt nie potrafił się oprzeć. Mężczyzna wetknął chusteczkę do kieszeni i zrobił krok do przodu, unosząc lekko dłoń, jakby chciał namaścić malucha.

Matka poruszyła się z przerażającą szybkością. Zagarnęła dziecko, przyciskając je do piersi, a potem posadziła obcesowo na ziemi za sobą. Nagie nóżki zetknęły się ze źwirem, a dla dziecka, które znało tylko czułość i miłość, był to zbyt wielki szok. Przestraszony chłopczyk zaczął płakać.

Laurel ścisnęło się serce, ale czuła się jak zamrożona, nie była w stanie się ruszyć. Zjeżyły się jej włoski na karku. Patrzyła na twarz matki, na której pojawił się wyraz, jakiego Laurel nigdy wcześniej nie widziała. Uświadomiła sobie, że to strach. Mama się bała.

Efekt był porażający. Wszystkie pewniki obecne w życiu Laurel

zmieniły się w dym i uleciały. Ich miejsce zajęła zimna trwoga.

– Witaj, Dorothy – powiedział mężczyzna. – Dawnośmy się nie widzieli.

Znał imię mamy. A więc to nie był nieznajomy.

Odezwał się znowu, lecz zbyt cicho, by Laurel mogła go usłyszeć, a matka lekko mu przytaknęła. Potem słuchała dalej, przechylając głowę na jedną stronę. Jej twarz uniosła się do słońca, a oczy zamknęły tylko na jedną sekundę.

To, co nastąpiło, stało się szybko.

Laurel na zawsze zapamięta ten płynny srebrzysty błysk, odbicie słońca na metalowym ostrzu. Ta chwila była piękna.

Potem nóż opadł w dół, ten nóż przeznaczony na specjalne okazje, i zanurzył się głęboko w piersi mężczyzny. Czas zwolnił, a następnie przyspieszył. Mężczyzna krzyknął, a jego twarz wykrzywiła się ze zdziwienia, bólu i przerażenia. Laurel patrzyła na jego ręce, które zbliżyły się do kościanej rączki noża, w miejscu gdzie krew plamiła koszulę. Widziała, jak mężczyzna pada na ziemię, a ciepły wietrzyk wlecze po ziemi jego kapelusz.

Pies głośno szczekał, dziecko siedzące na żwirze zanosilo się płaczem, twarzyczkę miało czerwoną i lśniącą od łez, jego małe serduszko pękało z żalu, ale do Laurel ledwie docierały te odgłosy. Słyszała je poprzez galop własnej pulsującej krwi, charkot własnego urywanego oddechu.

Nóż tkwił nienaruszony w piersi mężczyzny, a końcówka wstążki opadła przy kamieniach odgradzających klomb. To była ostatnia rzecz, jaką widziała Laurel, zanim przed jej oczami pokazały się błyskające gwiazdki, a potem wszystko załała czerń.



## 2

### *Suffolk, 2011*

W Suffolk padał deszcz. W jej wspomnieniach z dzieciństwa nigdy nie padało. Szpital był po drugiej stronie miasta, a samochód włókł się wolno po usianej kałużami High Street, aż wreszcie skręcił na podjazd i się zatrzymał. Laurel wyjęła puderniczkę, otworzyła ją, by przejrzeć się w lusterku, i podciągnęła skórę jednego policzka do góry, patrząc spokojnie, jak zmarszczki zbierają się, a potem opadają, gdy je uwalnia. Powtórzyła to samo po drugiej stronie. Ludzie uwielbiali jej zmarszczki. Tak mówiła jej agentka, rozplywali się nad nimi dyrektorzy castingu, makijażystki nuciły o nich z ukontentowaniem, wymachując swoimi pędzlami i epatując młodością. Przed paroma miesiącami jedna z internetowych gazet rozpisała ankietę, zachęcając czytelników, by głosowali na „Ulubioną twarz kraju” i Laurel znalazła się na drugim miejscu. Jej zmarszczki, mówiono, sprawiają, że ludzie czują się bezpiecznie.

No i bardzo dobrze. Jednak ona czuła się przez nie staro. Pomyślała, że przecież jest stara, i zatrzasnęła puderniczkę. I to nie stara à la pani Robinson. Minęło już dwadzieścia pięć lat, od kiedy grała w *Absolwencie* w Teatrze Narodowym. Jak to się stało? Ktoś przyspieszył cholerny zegar, kiedy nie patrzyła, ot co.

Kierowca otworzył drzwi i odprowadził ją do wejścia pod wielkim czarnym parasolem.

– Dziękuję, Mark – powiedziała, gdy stanęła pod markizą. – Czy znasz adres, spod którego masz mnie odebrać w piątek?

Postawił jej małą walizkę i strząsnął parasol.

– Dom wiejski po drugiej stronie miasta, wąska droga, podjazd na samym końcu. Czy godzina druga nadal pani odpowiada?

Powiedziała, że tak, a on skinął głową i szybko podszedł w deszczu do drzwi po stronie kierowcy. Samochód ruszył, a ona patrzyła, jak odjeżdża, i zapragnęła nagle przyjemnej monotonii długiej podróży w ciepłym aucie mknącym gdzieś po mokrej autostradzie. Pojechać gdziekolwiek, byle nie być tutaj.

Laurel zmierzyła wzrokiem drzwi, ale nie weszła do środka. Zamiast tego wyjęła papierosy, zapaliła jednego i zaciągnęła się z łapczywością, która wykluczała dostojność. Miała za sobą okropną noc. Śniła jej się matka, to miejsce, siostry, gdy były dziećmi, Gerry jako chłopczyk. Mały poważny chłopiec, który trzyma własnoręcznie wykonany blaszany prom kosmiczny i mówi jej, że kiedyś wynajdzie pojazd do podróży w czasie i użyje go, by wrócić i wszystko naprawić. Czyli co? – spytała we śnie. No jak to, oczywiście to wszystko, co poszło źle – może z nim pojechać, jeśli chce.

Chciałaby.

Drzwi szpitala otworzyły się ze świstem i ze środka wyskoczyły dwie pielęgniarki. Jedna z nich spojrzała na Laurel i jej oczy rozszerzyły się, gdy ją rozpoznała. Laurel skinęła głową w formie powitania, rzuciła niedopałek, a pielęgniarka nachyliła się, szepcząc coś do ucha koleżanki.



Rose czekała przy rzędzie krzesel w holu i przez krótką chwilę Laurel patrzyła na nią jak nieznajoma. Siostra miała na sobie fioletową, robioną na szydełku narzutkę, przytrzymywaną z przodu przez różową kokardę, a jej niesforne włosy, teraz srebrne, były splecione w luźny warkocz przerzucony przez ramię. Laurel poczuła ukłucie nieznośnego wzruszenia na widok plastikowego zacisku od torebki na chleb, który przytrzymywał końcówkę warkocza siostry.

– Rosie – powiedziała, skrywając uczucia za fasadą jowialnej serdeczności i trochę siebie za to nienawidząc. – Boże, całe wieki się nie widziałyśmy. Wciąż się mijamy.

Uściskały się, a Laurel zaskoczył zapach lawendy, znajomy, ale zupełnie nie na miejscu. Pasował do letnich wakacyjnych popołudni w pensjonacie Błękit Morza należącym do babci Nicolson, a nie do jej młodszej siostry.

– Tak się cieszę, że dałaś radę przyjechać – powiedziała Rose, ściskając ręce Laurel, zanim powiedziała ją korytarzem.

– Nie mogłabym opuścić takiej uroczystości.

– Oczywiście.

– Przyjechałabym wcześniej, gdyby nie ten wywiad.

– Wiem.

– I zostałabym na dłużej, gdyby nie próby. Za dwa tygodnie ruszają zdjęcia do filmu.

– Wiem. – Rose jeszcze mocniej ścisnęła rękę Laurel, jakby dla położenia nacisku. – Mama będzie zachwycona, że w ogóle się zjawiłaś. Jest z ciebie taka dumna, Lol. Jak my wszyscy.

Zachwyty członków rodziny wprawiają raczej w zakłopotanie, więc Laurel zignorowała te słowa.

– A co z resztą?

– Jeszcze nie przyjechali. Iris utknęła w korkach, a Daphne przyleci po południu. Przyjedzie do domu prosto z lotniska. Zadzwoń z drogi.

– A Gerry? Jaki jest przewidywany czas jego przybycia?

To był żart i nawet Rose, ta miła Nicolsonówna, jedyna, która nie drażniła się ot tak dla zasady, nie mogła powstrzymać się od chichotu. Ich brat potrafił konstruować kalendarze przewidziane na kosmiczny dystans, by obliczyć poczynania odległych galaktyk, ale gdy prosiło się go, by ustalił czas swego przyjazdu, był skołowany.

Skręciły za róg i ujrzały drzwi z wizytówką „Dorothy Nicolson”. Rose sięgnęła do klamki, po czym się zawahała.

– Muszę cię ostrzec, Lol – powiedziała. – Mama bardzo się posunęła od czasu twojej ostatniej wizyty. Miewa lepsze i gorsze momenty. Przez chwilę jest taka jak dawniej, a zaraz potem... – Usta Rose zadrzały, chwyciła długi sznur swoich koralów. Dalej mówiła ścisłym głosem. – Czasem ma mętlik w głowie, Lol, bywa przybita, mówi różne rzeczy dotyczące przeszłości, które nie zawsze rozumiem. Pielęgniarki twierdzą,

że to nic nie znaczy, że zdarza się często, gdy ludzie są w mamy stanie. Dają jej wtedy tabletki, które ją uspokajają, ale jest po nich półprzytomna. Dziś nie oczekiwałabym zbyt wiele.

Laurel skinęła głową. Gdy w zeszłym tygodniu dzwoniła, by dowiedzieć się o stan matki, lekarz powiedział jej mniej więcej to samo. Wygłosił litanię nużących eufemizmów – koniec wyścigu, czas, by odpowiedzieć na ostateczne wezwanie, długi sen – w dodatku tak przesłodzonym głosem, że Laurel nie mogła się powstrzymać. „Chce pan powiedzieć, doktorze, że moja matka umiera?”, spytała królewskim tonem, dla samej satysfakcji usłyszenia, jak lekarz się krztusi. Nagroda była słodka, lecz cieszyła się nią krótko, tylko do chwili, gdy udzielił odpowiedzi.

Tak.

Najbardziej zdradliwe ze słów.

Rose pchnęła drzwi.

– Patrz, kogo znalazłam, mamusiu – powiedziała, a Laurel przyłapała się na tym, że wstrzymuje oddech.



W dzieciństwie Laurel bała się różnych rzeczy. Ciemności, zombie, dziwnych mężczyzn, którzy w strasznych opowieściach babci Nicolson czyhali za rogiem na małe dziewczynki i robili im niewyobrażalne rzeczy. (Jakie rzeczy? Nie-wy-o-bra-żał-ne. Zawsze tak mówiła, a groźba była tym bardziej przerażająca z powodu braku szczegółów, mglistej sugestii na temat tytoniu, potu i włosów w dziwnych miejscach). Babcia była tak przekonująca, że Laurel wiedziała, iż prędzej czy później ta posępna przepowiednia się ziści.

Czasami jej najgorsze lęki się kumulowały i budziła się z krzykiem w nocy, bo na przykład zombie z ciemnej szafy podglądał ją przez dziurkę od klucza, czekając na odpowiedni moment, by wprowadzić w czyn swe straszne zamiary.

– Cicho, ptaszku – uspokajała ją pewnego razu matka. – To tylko sen. Musisz nauczyć się odróżniać rzeczy prawdziwe od wymyślonych. To nie zawsze jest łatwe, ja sama bardzo długo się tego uczyłam. Za długo.

– Potem usadowiła się przy Laurel w łóżku i spytała: – Opowiedzieć ci historię o dziewczynce, która uciekła z domu i została cyrkówką?

Trudno uwierzyć, że kobieta, której obecność gromiła wszelkie nocne koszmary, była tą samą bladą istotą przykutą do szpitalnego łóżka. Laurel sądziła, że jest na to przygotowana. Przeżyła śmierć kilku przyjaciół, wiedziała, jak wygląda jej nadejście, dostała nagrodę Brytyjskiej Akademii Sztuk Filmowych i Telewizyjnych za rolę kobiety w ostatnim stadium raka. Ale to było co innego. To była mama. Laurel zapragnęła odwrócić się i uciec.

Jednak tego nie zrobiła. Rose stojąca obok półki z książkami skinęła głową dla dodania jej otuchy, a Laurel weszła w rolę oddanej córki składającej wizytę. Podeszła szybko do matki i ujęła jej wiotką dłoń.

– Cześć – powiedziała. – Witaj, kochana.

Dorothy zatrzepotała powiekami i jej oczy na chwilę się otworzyły, a potem znów zamknęły. Oddychała nadal słabo i rytmicznie, gdy Laurel składała pocałunki na obu przypominających papier policzkach.

– Coś ci przywiozłam. Nie wytrzymam z tym do jutra. – Odłożyła swoje rzeczy i wyciągnęła mały pakunek z torebki. Zrobiła konwencjonalną pauzę, a potem zaczęła odpakowywać prezent. – To szczotka do włosów – ciągnęła, obracając w palcach srebrny przedmiot. – Ma bardzo miłe włosie, chyba z dzika. Znalazłam ją w antykwariacie w Knightsbridge. Poprosiłam, by wygrawerowano na niej twoje inicjały. Chcesz, bym cię uczesała?

Raczej nie oczekiwała odpowiedzi, i żadnej nie otrzymała. Laurel lekko przesunęła szczotką po delikatnych białych pasmach, które tworzyły wokół twarzy matki koronę spoczywającą na poduszce. Te włosy kiedyś były grube, ciemnobrązowe, a teraz jakby rozplywały się w powietrzu.

– Proszę – powiedziała, kładąc szczotkę na półce, tak by światło padło na ozdobne D. – Proszę bardzo.

Rose najwidoczniej była zadowolona, bo podała jej album, który zdjęła z półki, i gestem pokazała, że idzie na korytarz, by przygotować herbatę.

W rodzinie każdy miał jakąś rolę, taka była rola Rose, a jej inna.

Laurel usadowiła się w jakimś chyba ortopedycznym fotelu stojącym u wezłowania matki i ostrożnie otworzyła stary album. Pierwsza fotografia była czarno-biała, pokryta ciemnymi punkcikami zasnuwającymi całą powierzchnię. Wyłaniała się spod nich młoda kobieta z włosami przewiazanymi chustką, uwieczniona w pozie zaskoczenia. Odrywając oczy od tego, czym się akurat zajmowała, podniosła rękę, jakby chcąc odgonić fotografa. Uśmiechała się lekko, z mieszaniną rozdrażnienia i rozbawienia, jej usta zastygły, wypowiadając jakieś zapomniane słowa. Laurel zawsze lubiła myśleć, że to pewnie był jakiś żart, dowcipna uwaga rzucona do osoby za obiektywem. Prawdopodobnie był to jeden z licznych gości babci: jakiś komiwojażer, samotny urlopowicz, cichy urzędnik w wypastowanych butach, przeczekujący wojnę na bezpiecznej posiadzie. Za kobietą można było dostrzec linię spokojnego morza, jeśli wiedziało się, że ono tam jest.

Laurel przytrzymała poziomo album nad nieruchomym ciałem matki i zaczęła:

– A więc to ty, mamó, w pensjonacie babci Nicolson. Jest rok czterdziesty czwarty i wojna ma się ku końcowi. Syn pani Nicolson jeszcze nie wrócił do domu, ale wkrótce się zjawi. Za niecały miesiąc pani Nicolson wyśle cię do miasteczka z kartkami na żywność, a kiedy wrócisz z zakupami, przy stole kuchennym zastaniesz żołnierza, mężczyznę, którego nigdy wcześniej nie spotkałaś, ale którego rozpoznałaś ze zdjęcia stojącego w ramce na kominku. W chwili waszego spotkania jest starszy niż na zdjęciu i smutniejszy, ale ubrany tak samo, w mundur w kolorze khaki, uśmiecha się do ciebie, a ty od razu wiesz, że jest tym, na którego czekałaś.

Laurel przewróciła stronę, używając kciuka, by spłaszczyć plastikowy róg żółknącego arkusza oddzielającego strony. Kruszył się ze starości.

– Wzięłaś ślub w sukni uszytej własnoręcznie z koronkowych zasłon, które za twoją namową babcia Nicolson poświęciła z wyposażenia pokoju dla gości na piętrze. Brawo, kochana mamó, wyobrażam sobie, że nie było łatwo ją do tego przekonać. Wszyscy wiemy, jak babcia ceniła tkaniny dekoracyjne. W noc przed ceremonią rozpętała się burza i obawiałaś się, że dzień ślubu będzie deszczowy. Jednak nie padało.

Wzeszło słońce, wiatr odegnał chmury i ludzie mówili, że to dobry omen. Jednak wy woleliście się dodatkowo zabezpieczyć: oto pan Hatch, kominiarz, stojący u stóp schodów kościoła. Z wielką chęcią wyświadczył wam tę przysługę. A za pieniądze, które dał mu tata, kupił nowe buty dla najstarszego syna.

W ostatnich miesiącach nigdy nie miała pewności, czy matka słucha, ale miła pielęgniarka powiedziała, że nie ma powodu, by sądzić inaczej. Czasami, przeglądając album, Laurel pozwalała sobie puścić wodze fantazji – oczywiście bez przesady, ale gdy wyobrażenia podsuwała jej różne wątki, chętnie za nią podążała. Iris tego nie aprobowała, powiedziała, że opowieść o życiu jest dla matki istotna i Laurel nie ma prawa jej ubarwiać, ale lekarz tylko wzruszył ramionami, gdy dowiedział się o tym wykroczeniu, i stwierdził, że ważne jest samo mówienie, a nie prawdziwość słów. Odwrócił się do Laurel i mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Kto jak kto, ale pani może sobie pozwolić na odejście od prawdy, panno Nicolson – zauważył.

Chociaż wziął jej stronę, Laurel nie spodobało się założenie, że działają w zмовie. Korciło ją, by zaznaczyć różnicę pomiędzy przedstawieniem scenicznym a oszustwem w życiu, i powiedzieć bezczelnemu lekarzowi ze zbyt czarnymi włosami i zbyt białymi zębami, że w obu wypadkach prawda ma znaczenie, ale uznała, że nie ma sensu rozmawiać o pryncypiach z człowiekiem, który nosi w kieszonce koszuli długopis w kształcie kija golfowego.

Przeszła na kolejną stronę albumu i znalazła, jak zwykle, serię własnych zdjęć z okresu niemowlęstwa. Opowiedziała szybko o swoich wczesnych latach – małeńka Laurel śpiąca w dzieciennym łóżeczku stojącym pod ścianą, na której wymalowano gwiazdy i wróżki, krzywiąca się w ramionach matki, trochę podrośnięta, człapiąca na tłustych nóżkach po płyciźnie na plaży – aż doszła do miejsca, gdy skończyło się wyliczanie, a rozpoczęło wspomnianie. Przewróciła stronę, wywołując w pamięci wrzawę i śmiech. Czy to przypadek, że jej własne wspomnienia są tak silnie związane z pojawieniem się siostrzyczek, będących jak kamienie, po których można przejść na drugą stronę strumienia?

Tarzające się w trawie, machające z okna domku na drzewie, stojące w rządku przed domem Greenacres – ich domem – wyszczotkowane, utrefione, wypastowane i pocerowane na jakąś zapomnianą okazję?

Gdy urodziły się jej siostry, Laurel przestały prześladować koszmary sennie. A raczej się zmieniły. Nie było już wizyt zombie, potworów ani dziwnych mężczyzn, którzy w ciągu dnia mieszkali w kredensie. Zamiast tego zaczęła śnić o nadciągającej fali przyptywu, końcu świata albo o tym, że zaczyna się nowa wojna, a ona musi samodzielnie zapewnić młodszemu siostrze bezpieczeństwo. Wyraźnie wbiły jej się w pamięć słowa matki, powtarzane, gdy Laurel była dziewczynką: „Opiekuj się siostrami. Jesteś najstarsza, nie zaniedbuj ich”. Wówczas nie przyszło jej do głowy, że za tym ostrzeżeniem krył się jej wieloletni żal z powodu śmierci młodszego brata, który zginął podczas bombardowania w drugiej wojnie światowej. Dzieci potrafią być tak skupione na sobie, zwłaszcza te szczęśliwe. A dzieci Nicolsonów były szczęśliwsze od większości swoich rówieśników.

– Oto my w czasie Wielkanocy. Daphne siedzi na wysokim krzeselku, a więc to musi być rok pięćdziesiąty szósty. Tak, zgadza się. Widzisz, Rose ma rękę w gipsie, tym razem lewą. Na drugim planie widać, że Iris się wygłupia, szerzy zęby w uśmiechu, ale zaraz mina jej zrzednie. Pamiętasz? Właśnie tego popołudnia zrobiła nalot na lodówkę i wyssała wszystkie szczypcy krabowe, które tata poprzedniego dnia przywiózł z wyprawy wędkarskiej.

To był jedyny raz, gdy Laurel widziała ojca rozwścieżonego. Nieco oszołomiony drzemką i słońcem zajrzał do lodówki, bo naszła go ochota na słodkie mięso krabowe, ale znalazł tylko puste skorupki. Nadal miała przed oczami Iris chowającą się za sofą – w jedynej kryjówce, w której mogła ignorować groźby ojca, że sprawi jej lanie (czcze pogrożki, a jednak przerażające). Nie chciała stamtąd wyjść i błagała każdego, kto chciał jej słuchać, by zmiłował się nad nią i – proszę, błagam – wsunął za sofę egzemplarz *Pippi Langstrumpf*. Rozczuliło ją to wspomnienie. Zapomniała, jaka zabawna potrafi być Iris, gdy usilnie nie stara się złościć.

Coś wysunęło się z tyłu albumu i Laurel podniosła z podłogi zdjęcie, którego nigdy wcześniej nie widziała, staroświecką czarno-białą fotkę



przedstawiającą dwie młode obejmujące się kobiety. Śmiały się do niej ze środka białej ramki, stojąc w pokoju, w którym wisiała nad nimi flaga, a z niewidocznego okna wlewało się światło słoneczne. Odwróciła zdjęcie w poszukiwaniu jakiejś adnotacji, ale znalazła tam jedynie datę: maj 1941. Dziwna rzecz. Znała rodzinny album na wylot, a ta fotografia, te osoby do niego nie należały. Drzwi się otworzyły i pojawiła się Rose, niosąc dwie różne filiżanki pobrzękujące na spodeczkach.

Laurel uniosła zdjęcie.

– Widziałas to, Rose? – spytała.

Rose postawiła filiżankę na stoliku przy łóżku, przymrużyła oczy, patrząc na zdjęcie, a potem się uśmiechnęła.

– A tak, znalazłam je kilka miesięcy temu w Greenacres. Pomyślałam, że będziesz potrafiła umiejscowić je w albumie. Śliczne, prawda? Niesamowicie jest odkryć coś nowego o niej, szczególnie teraz.

Laurel spojrzała ponownie na zdjęcie. Młode kobiety z włosami upiętymi zgodnie z ówczesną modą w ciasne wałki, spódnice do kolan, jedna z nich trzyma w ręku papierosa. Oczywiście, że to ich matka. Miała inny makijaż. I w ogóle była inna.

– Zabawne – powiedziała Rose. – Nigdy o niej w ten sposób nie myślałam.

– Niby jak?

– No, że była młoda. Zaśmiewała się z jakąś koleżanką.

– Naprawdę? Ciekawe dlaczego.

Chociaż oczywiście to samo dotyczyło Laurel. W jej umyśle – najwyraźniej w wyobrażeniu ich wszystkich – matka zaczęła istnieć w momencie, gdy odpowiedziała na zamieszczoną przez babcię w gazecie ofertę pracy dla pomocy do wszystkiego i zaczęła pracować w pensjonacie. Znały podstawowe informacje na temat wcześniejszego okresu: że matka urodziła się i wychowała w Coventry, że wyjechała do Londynu tuż przed rozpoczęciem wojny, że jej rodzina zginęła podczas bombardowań. Laurel wiedziała również, że śmierć bliskich bardzo matkę dotknęła. Dorothy Nicolson przy każdej okazji przypominała swoim dzieciom, że rodzina jest wszystkim: to była mantra ich dzieciństwa. Gdy Laurel przechodziła szczególnie bolesny okres dojrzewania, matka ujęła ją za

ręce i powiedziała z niezwykłą jak na nią surowością: „Nie bądź taka jak ja, Laurel. Nie czekaj zbyt długo, by uświadomić sobie, co jest ważne. Twoja rodzina może cię czasem doprowadzać do szału, ale jest dla ciebie więcej warta, niż sobie wyobrazasz”.

Jeśli chodzi o szczegóły dotyczące życia Dorothy, zanim spotkała Stephen'a Nicolsona, nigdy nie zamęczała nimi swoich dzieci, a im nie przychodziło do głowy, by o nie pytać. Zresztą nic dziwnego, pomyślała Laurel, z uczuciem lekkiego dyskomfortu. Dzieci nie wymagają od swoich rodziców przeszłości, a nawet sądzą, że to dość niewiarygodne, niemal żenujące, iż rodzice roszczą sobie prawa do wcześniejszej egzystencji. Jednak teraz, patrząc na tę nieznaną z czasów wojny, dotkliwie odczuwała ten brak wiedzy.

Gdy zaczynała karierę aktorską, pewien dobrze znany reżyser pochylił się nad swoim egzemplarzem scenariusza, poprawił okulary z niezwykle grubymi szklami i powiedział Laurel, że nie ma odpowiedniego wyglądu do grania głównych ról. Boleśnie odczuła tę uwagę, lamentowała i pomstowała, przez wiele godzin ćwiczyła przed lustrem, niby przypadkiem chwytając swoje odbicie, a wreszcie obcięła krótko włosy w przyпыłwie pijackiej brawury. Okazało się, że to był ten moment w jej karierze. Została aktorką charakterystyczną. Reżyser obsadził ją w roli siostry głównej bohaterki i zebrała pierwsze pochlebne recenzje. Ludzie zachwycali się jej umiejętnością budowania postaci od wewnątrz, zanurzenia się, zniknięcia pod skórą innej osoby, ale to nie był żaden trik, ona tylko starała się poznać tajemnicę postaci. Laurel wiedziała co nieco o dochowywaniu sekretów. Wiedziała również, że tak właśnie znajduje się prawdziwych ludzi, którzy kryją się za różnymi ciemnymi plamami.

– Takiej młodej nie widziałyśmy jej na żadnym innym zdjęciu – powiedziała Rose, która przysiadła na podłokietniku fotela, rozsiewając jeszcze silniejszą woń lawendy, i wzięła do ręki fotografię.

– Tak? – Laurel sięgnęła po papierosy, przypomniała sobie, że jest w szpitalu, i wzięła zamiast nich filiżankę. – Chyba masz rację.

W przeszłości matki było tyle ciemnych plam. Dlaczego wcześniej się tym nie przejmowała? Zerknęła znów na zdjęcie, dwie młode kobiety zdawały się teraz naśmiewać z jej niewiedzy. Siłą się na niedbały ton,

spytała:

- Gdzie to znalazłaś, Rosie?
- W książce.
- W książce?
- Właściwie w egzemplarzu sztuki *Piotruś Pan*.
- Mama występowała w przedstawieniu?

Matka była świetna w różnych przebiegankach i udawankach, ale Laurel nie przypominała sobie, by występowała kiedykolwiek w prawdziwym przedstawieniu.

– Nie mam pojęcia. Ta książka to prezent. Na stronie tytułowej jest dedykacja; pamiętasz, jak lubiła, gdy opatrywałyśmy nimi prezenty książkowe w dzieciństwie?

– Co tam jest napisane?

– „Dla Dorothy”. – Rose splotła palce, wysilając pamięć. – „Prawdziwy przyjaciel jest jak światło w mroku. Vivien”.

Vivien. To imię wywołało w Laurel dziwną reakcję. Poczuła, że jej skóra robi się gorąca, a potem zimna, czuła puls bijący w skroniach. Przez jej mózg przemknęły przyprawiające o zawrót głowy obrazy: błyszczące ostrze noża, przerażona twarz matki, rozwiązana czerwona wstążka. Stare wspomnienia, brzydkie wspomnienia, które uwolniło imię nieznaney kobiety.

– Vivien – powtórzyła głośniejszym głosem, niż zamierzała. – Kim jest ta Vivien?

Rose podniosła na nią zaskoczone spojrzenie, ale nawet jeśli coś odpowiedziała, zagłuszyło to wtargnięcie Iris trzymającej w górze bilet parkingowy. Obie siostry zaabsorbowało jej wielkie oburzenie i dlatego żadna z nich nie zauważyła, że Dorothy, słysząc imię Vivien, raptownie zaczerpnęła tchu, a jej twarz skurczyła się z bólu. Gdy trzy siostry zgromadziły się po chwili przy łóżku matki, Dorothy wyglądała, jakby była pogrążona w spokojnym śnie, a jej rysy wcale nie wskazywały na to, że opuściła szpital, swoje znękanne ciało i dorosłe córki, by przemknąć przez otchłań czasu aż do pewnej ciemnej nocy roku czterdziestego pierwszego.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiazka.pl](http://taniaksiazka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).